

żona. Nic mi chyba nie pozostaje, jak w rzeczy samej iść za słowami kłamliwymi Hortensyi i wstąpić do klasztoru. Jest tu podobno niedaleko, gdzieś w górach i lasach klasztor Panien Bernardynek. Udam się tam i wśród posępnych murów ukryję mój wstyd i pokutę odpawię za grzechy moje i mych przodków. O! tak, klasztor, to jedyne miejsce dla takiej bezwstydnicy jak ja, całującej mnicha zbiegłego i złodzieja. Boże, ja chyba umrę ze wstydu!...

Tegoż dnia późno w nocy. Uspokoiwszy się dziś nieco, poczęłam zastanawiać się nad tem, jakim sposobem zbiegły mnich Gwido, a raczej Tomasz Gaworowski, mógł dostać się do mego pokoju. Wszak jest on na piętrze, stosunkowo dość wysokim. Cudac się o tem przekonać, a przedewszystkiem zabezpieczyć się na przyszłość, bo skoro raz tu się dostał, to może to samo drugi raz powtórzyć, postanowiłam tę rzecz zbadać szczegółowo. Nie chodzę już do parku, bo się boję, choć wiosna jest w całej krasie, noce są cudowne, drzewa się rozwinięły, bzy kwitną, a słowik swe trele wyśpiewuje, ale go już nie słucham, bo lękam się otwierać okien wieczorami. Owszem teraz na noc starannie zamykam okiennice od strony ogrodu, a nawet do tego pokoju kazałam Zuzi przenieść się z łóżkiem dla bezpieczeństwa, co ona dość niechętnie spełniła, bo tam, gdzie dotąd sypiała, okna wychodzą na dziedziniec zamkowy, przez które mogła widzieć mieszkanie pana Alfonsa Dziurkiewicza i może z nim się porozumiewać.

Jakkolwiek więc zaprzestałam moich przechadzek po parku, jednak dziś po południu zeszłam do niego, żeby się przekonać, jakim sposobem złoczyńca Gaworowski mógł się dostać wtedy do okna, a przez okno do pokoju. Zbadałam bardzo starannie okolicę owego okna, znalazłam nawet ślady jego nóg, odcisnięte na miękkiej, wilgotnej ziemi, ale naprawdę nie umiem sobie wytłumaczyć, jaką drogą i którą wdrapał się na piętro. Chyba miał drabinę, ale w takim razie byłaby ona zostawiła jakiś ślad, dziury w ziemi, w miejscu, w którym stała, tymczasem nic podobnego nie znalazłam. Piętro jest dość wysokie, ściany wprawdzie mają liczne gzymsy, zagłębienia, skarpy, je podpierające, ale bądź co bądź trzeba być gimnastykiem nielada, żeby wdrapać się na nie. Zdumiewam się naprawdę nad zrzecznością i odwagą Gaworowskiego. Wprawdzie tuż pod oknem rośnie ogromny wiaź, którego gałęzie sięgają do okna, ale trzeba być bardzo lekkim, by po tych gałęziach przesunąć się, a potem z nich zrobić ryzykowny skok do pokoju. Doprawdy, mimo wszystko, mimo gniewu i nienawiści, jaką czuję do tego zdrajcy i złoczyńcy, nie mogę w duszy nie podziwiać jego dzielności i odwagi!

Dnia 27 kwietnia. I znowu niezłomna wola przeznaczenia popycha mnie o krok dalej w nieznaną, tajemniczą przyszłość. Opiszę, jak to było.

Pomimo, że ostatnie wypadki wyłącznie mnie zaabsorbowały, nie uszło jednak mojej uwagi, że Walczak był znowu wezwany do zamku, że miał jakąś konferencję z dziaduniem, z czego wywnioskowałam, że zapewne otrzymał rozkaz sprowadzenia Szydły ponownie. Jakoż nie omyliłam się. Wczoraj dziadunio mi powiedział:

— Przepędzimy wieczór w wielkiej sali na dole, bo Szydło ma dziś przyjść o północy.

— Czy w sprawie mnicha Gwidona? — zapytałam.

— Tak. Chcę się dowiedzieć od niego, gdzie i jak znalazł wózek i konie klasztorne i wogóle na jakie ślady tego zbrodniarza natrafił.

Zasiedliśmy więc w owej sali, splewiałej od starości, przy kominku, gawędząc i wsłuchując się co chwila w niki tony kurantowego zegara, powtarzającego melancholijną arję płaczących nad sobą. Sala ta i ten zegar wywierał na mnie wrażenie, zdawał się wtórować mojemu smutkowi, tak, że w rozmowie, która stała się, nie mogłam się skupić na tem, co mówił mnich. Wreszcie, kiedy już zaczęła się rozmowa, powiedział mi:

stwo warszawskie i zapewniał, że cesarz Napoleon zada jakiegoś „fernepeksu Kajzerlikom“, jak się wyrażał. Słuchałam tych wynurzeń, nie słuchając wcale, bo dusza moja błądziła po buduarze tam na piętrze i paliła się wstydem od otrzymanych i oddanych pocałunków zbiegłemu mnichowi, a potem przypomniałam sobie list Hortensyi i jej opowiadanie o kawalerze Dolabelli. Wszystkie nici się porwały i ja nie będę mogła zostać żoną mego ukochanego, bo usta innego mężczyzny spoczęły na mych ustach. A godziny płynęły, a zegar jęczał swą śpiewkę smętną i straszny smutek ogarniał mą biedną, zrozpaczoną, ciężko zranioną duszę, dla której jedyna ucieczka pozostawała w murach klasztornych. W ciągu dnia wypytałam się starej Gruszkowskiej o ten klasztor; powiedziała mi, że jest on pod wezwaniem św. Katarzyny, że znajduje się wśród głuchej puszczy i gó, że zna przełożoną, matkę Serafinę, że są to wogóle bardzo dobre i bardzo święte panny, że jeżeli chce, a jaśnie pan dziedzic pozwoli, to jak się tylko drogi ustalą i obeszna trochę, możemy tam jechać na nabożeństwo.



Zasiedliśmy więc w owej sali, splewiałej od starości...

I teraz oto, niby słuchając wygadywań dziadunia na „Kajzerlików“, myślałam o cichem, sennem, zamkniętym życiu klasztorne, a słowik pod oknem wyśpiewywał swe trele miłosne, a zegar kwilił i po starej sali szły jakieś szmery i szepty. Może to duch biednej chorążyny, może jej postać, utkana z „Cienia“, zeszła z obrazu tam w galerii i krąży niewidzialna koło swej nieszczęśliwej praprawnuczki.

Nakoniec zegar stękając, chrapiąc, z powstrzymanym co chwila oddechem, wyjęczał północ, a kurant wykwił swą piosnkę, której wyrazy, zasyłane od Zuzi, brzmiały mi w uszach:

„Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą, a ja doliną,  
Ty zakwitniesz różą, a ja kaliną.“

Gdy nagle tuż pod szklanymi drzwiami sali rozległo się ponure hukanie puszczki, hasło umówione między Szydłą a dziaduniem.

Nie będę tu opisywała rozmowy, jaką mój opiekun prowadził z herzoldem bandytów, bo mię ta rzecz nie interesuje. Szydło zaklinał się na wszystko, że samego Gwidona nie mógł wysledzić, że wprawdzie trafił na jego ślad, że znalazł w klasztorze wózek, który go mnicha nie widział. Wreszcie, kiedy już zaczęła się rozmowa, powiedział mi:

obecności, nie wstydząc się wcale i nie lękając, że ja każdej chwili mogłam zaprzeczyć jego słowom.

— Niech jaśnie pan — mówił zbój — pewny będzie, że tego dobrodzieja niema wcale w tutejszych borach. Pewnikiem on już drapnął za Pilicę do naszych. Coby on tu robił? chyba po to by siedział, żeby go cesarscy chycili.

Nie słuchałam tych tłumaczeń się, bo mię wstyd było, że pozwalałam tak zuchwale oszukiwać dziadunia; wydawało mi się, że jestem spółniczką tego rozbójnika. Wstałam więc i poszłam do na pół uchylonych drzwi szklanych, wychodzących na taras, i patrzyłam, jak powoli za ciemne grupy drzew zapadał się sierp księżycy, wdychałam w siebie woń rozkwitłych bzów i napawałam się trelami słowiczmi. Noc była cicha i ciepła i tak zagłębiłam się w jej urok poetycki, w myśli o kawalerze, łzami rosącym wiadomość, że wychodzę za mąż, o ohydnych pocałunkach Gwidona, o klasztorze, jedynej ucieczce dla mej duszy utraconej, że zupełnie nie zwracałam uwagi na toczącą się znowu rozmowę między bandytą a dziaduniem, i nie wiedziałam

wcale, jak długo ona trwała. Wtedy dopiero ocknąłam się z mojej dręczącej zadumy, gdy Szydło zęgnął się z „jasnym panem“ i siedł ku drzwiom, przy których ja stałam. Zbliżywszy się do mnie, począł mi się kłaniać do kolan, całować mię w łokieć, coś gadać i przytem niewiem już kiedy i jak, ale w każdym razie bardzo zrzęcznie wsunął mi w dłoń jakiś papier w kilkoro złożony. Ziem bardzo zrobiła, że zaraz przy dziaduniu tego papieru nie rozwinęła i nie zwróciła go Szydłu... Ha! któż wie, może i dobrze, że tak nie uczyniła, bo wtedy musiałabym opowiedzieć o nocnym wtargnięciu Gwidona do mego pokoju, o pocałunkach jego i moich, a ja tę noc chciałam ukryć głęboko, mój wstyd i moją hańbę pokryć nieprzeniknącą tajemnicą. Dlatego to kartkę, wręczoną mi przez Szydła, schowałam do kieszeni tak, że dziadunio tego nie zauważył wcale. Herzolt zbójceki odszedł, dziadunio drzwi starannie zamknął i zasunął je okiennicami i widocznie miał ochotę jeszcze pogawędzić trochę, ale mnie kartka, którą miałam w kieszeni, paliła, chciałam ją jaknajprędzej przeczytać i dowiedzieć się, co zawiera. Pod pozorem więc znużenia pożegnałam pocziwego mego opiekuna i poszłam do siebie na górę. Drzemiacą Zuzię wyprawiłam zaraz spać, mówiąc, że się sama rozbiorę, drzwi od mej alkowy zamknęłam i cpo prędzej wydobyłam z kieszeni ów papier nieszczęsny.

Był to list zmięty i zabrudzony w niezbyt zapewne czystych łapach Szydły, zalepiony kawałkiem ośrdka chlebowego, list, któżby temu uwierzył? od Gwidona Gaworowskiego. Tak miał on śmiałość i zuchwalstwo do mnie pisać! Zobaczywszy podpis, wahałam się, czy należy czytać to pismo, ale po namyśle nie spaliłam go, jak to pierwotnie zamierzałam i nietylko przeczytałam go od końca do końca, ale nawet przepisałam w tym dzienniku, by go zachować na wszelki wypadek. Czy źle zrobiłam, nie wiem, ale nie mogłam przezwyciężyć ciekawości, nie mogłam się oprzeć pragnieniu zobaczenia, co może pisać do mnie pan Tomasz Gaworowski, po obeldze, jaką mu w twarz rzuciłam, gdy się wdął w nocy do mego pokoju i gdy mię całował i ja jego... Boże, któż zetrze z mych ust te palące pocałunki?

Ale oto ten list:

„W borze Witosławskim 21 kwietnia 1809 r.

Najpiękniejsza z Polek Pani!

Okrutnie się Pani ze mną obeszła wczoraj, zapominając, że ci niosę młode i gorące moje serce w darze; nazwałaś mię złoczyńcą i złodziejem. Otóż, nim, zrozpaczony i znękany życiem, rzucę się na burzliwe fale wypadków, które się w Polsce zaczynają teraz rozgrywać, chcę cię, Pani, błagać o przebaczenie za moje wczorajsze zuchwalstwo, a zarazem wytłumaczyć i usprawiedliwić czyn, jakiego niedawno dopuściłam się w klasztorze świętokrzyskim. Czy raczysz mię wysłuchać o! najmilsza i najpiękniejsza z Polek?

(Ciąg dalszy nastąpi).